

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

I.

Znudzony tem natarczywem naleganiem, Robert zmuszony był przywołać portyera i prosić go o usunięcie żebraczki.

Odeszła pokornie, mruczając coś niezrozumiałego i rzucając wokoło przenikliwe, ciekawe spojrzenia.

Innego dnia znowu, zakupił w pewnym magazynie krawatek i rękawiczek, nakazując zakupione przedmioty przesłać do hotelu. Powróciwszy, znalazł przed drzwiami swojego pokoju oczekującego już od dwóch godzin postać.

— Na co czekasz tutaj? — zapytał, spostrzegłszy, że przy czapce człowiek ten miał wcale znaku firmy, w której sprawunki porobił.

— Przyszedłem oddać Ekscelencyi ten pakunek — odpowiedział, trzymając uporczywie spojrzenie, utkwiłone w podłogę.

— Mogłeś go zostawić portyerowi — odparł zimno Alimena i wziął od niego pakunek, ociągając się z otworzeniem drzwi.

Posługacz odszedł powoli, ociągając się.

Robert dowiedział się później od Franciszka, pierwszego służącego w hotelu, że człowiek ów nalegał, aby mu otworzono drzwi jego pokoju, bo chce w nim złożyć przyniesiony pakunek, lecz Franciszek oparł się temu życzeniu.

— Proszę nie wpuszczać nikogo do mnie w czasie mojej nieobecności — nakazał Robert słuzacemu.

Wkrótce poszlaki zaczęły się mnożyć. Często powracając w nocy ulicą Condotti, zdawało się Robertowi, że ktoś idzie za nim. Odwracając się wówczas szybko i zawsze ta sama sylwetka słoszona uciekała ku ulicy Borgognona lub Marlo Dei Fiori. Raz nawet Robert odważnie chciał stawić czoło śledzącej go osobie i zwrócił się do niej, lecz cień wysoki i ciemny skoczył z szybkością nadzwyczajną i przepadł w ciemnościach ulic najbliższych.

Często także, wieczorem, kiedy przechodził przez plac Hiszpański, zdawało mu się, że widzi kogoś, przechadzającego się tam i z powrotem, to znowu w nocy uporczywie jakieś kroki dawały się słyszeć pod oknami jego mieszkania.

Wszystkie te spostrzeżenia nie budziły w Robertcie obaw żadnych, podniecały tylko jego nerwowość, budząc go z dawnej apatii i odętnienia. Teraz czuł, że zaczyna żyć całą pełnią swojej młodości i sił, że wkłada się w jego życie element jakiś żywiołowy, fantastyczny, który zaprowadzić go może na drogę zupełnie dla niego nową i interesującą. Przeczował, że poza odkryciem tej tajemniczej ręki, kryć się musi zaciekawiająca, a może straszna jakaś historia i że pomimo woli związany był z oddalenia z osobami nieznanymi, zbrodniażami może, którzy mogą w przyszłości ważną rolę odegrać w jego życiu.

W końcu, znudzony bezowocnem oczekiwanem, postanowił sam zająć się poszukiwaniem właściciela czarnego pudła, skoro on dotąd nie zjawiał się dobrowolnie.

Ta ścieżka tajemnicza, która otaczała go i zaciemniała się około niego, przyciągała go magicznie. Wyczuwał, że ta dłoń biała, tak bogato obciążona klejnotami, była punktem, około którego rozwijał się ponury dramat jakiś zbrodniczy, lub też może miłosny.

On sam już zaczynał jak student rozkochiwać się w tej ręce. Już kilkakrotnie znalazłszy się sam w swoim pokoju z drobiazgowymi ostrożnościami wydobyl ją z aksamitnego futerału i wpatrywał się w nią oczarowanymi oczyma. Raz nawet głowę jego pochylała się bezwte-

dnie i usta jego rozpalone spoczęły na gładkiej, lekko zaróżowionej skórze.

Dziwne myśli zaczęły go nawiedzać od pewnego czasu. Był przekonany, że walka jakaś cicha i podstępna zawiązała się na odległość pomiędzy nim, a nieznanym właścicielem pudła. Być mogło, że tak, jak i on człowiek o rozgorączkowanej wyobraźni i serca, rozkochany był w ręce pokrytej klejnotami, ten do którego należała kiedyś i który może poszukuje jej z rozpaczliwym niepokojem.

Robert byłby mógł przysiąc, że w przyszłości, a może nawet w najkrótszym czasie zdarzenie jakieś poważne wstrząśnie do głębi jego życia. Przekonanie to, bawiło go nawet i jeszcze nigdy żadna kobieta nie interesowała go do tego stopnia jak ta przepiękna dłoń kobieca!

Robert nie wątpił ani przez chwilę, że należeć musi do istoty żyjącej jeszcze istotą pełną nieprzeparłego wdzięku i młodości. Niekiedy w gorączkowych snach nocnych zjawiało mu się cudne, niepokojące zjawisko, owinięte w długą, białą szalę, o włosach czarnych, spływających

strza z całem zamilowaniem oddawali się ukochanej nauce.

Robert Alimena odwiedzał niekiedy starego profesora, przez pamięć na przyjaźń, jaka łączyła go niegdyś z jego ojcem.

Wybierając się dzisiaj do niego, Roberta jeszcze w ostatniej chwili ogarnęło wahanie. Czy należało zwierzyć mu ową niepokojącą tajemnicę? Czy pokazać mu rękę, ukrytą w czarnym pudelku?

Zachodziła obawa, że szpieg jaki ukryty mógł go wysledzić, niosącego pudelko do willi starego profesora. A może nawet napaść lub jaki wypadek zdarzyć się może!

Ale pragnienie dowiedzenia się czegoś pewnego o tajemniczej ręce wzięła górę. Kazał sprowadzić powóz zamknięty i wjechać z nim w podwórze hotelu.

O tej porze nie było nikogo w podwórzu. Zeszedł, ukrywając pudło pod obszernym płaszczem i przytknął szybko drzwiczki powozu, rzuciwszy stangrelowi adres profesora.

Ale podczas całej drogi, banda oberwanych chłopaków towarzyszyła powozowi, czeplając się resorów pomimo uderzeń bata szlangreia; dwa razy powóz został wstrzymany, jakąś przeszkodą i Robert zauważył wówczas, że dwie stare kobiety uporczywie zaglądały do wnętrza, mruczając coś do siebie.

Robert odcichnął z ulgą, kiedy nareszcie stanął przed willą Silvia Amanti. Zadzwonił nerwowo i stary, zaufany sługa profesora przyszedł mu otworzyć.

— Profesor w domu? — zapytał go.

Tak. Ale pracuje i nie przyjmuje nikogo.

— Czy jest sam?

— Tak, Ekscelencyjo.

— Proszę mu powiedzieć, że pragnę bardzo z nim pomówić. Jestem Robert Alimena. Przypominacie mnie sobie?

Sługa znikł bez słowa, pozostawiając Roberta w małym saloniku, umeblowanym z wielkim gustem, przyozdobionym kwiatami roślinami.

Po chwili uchylili się wolno drzwi gabinetu naukowego i Silvio Amanti stanął w progu.

— Chodź, chodź, mój przyjacielu — rzekł, ściskając serdecznie Roberta.

— Nie przeszkadzam panu? — zapytał młody człowiek, wchodząc do obszernego pokoju, załozonego książkami.

— Nie, mój kochany. Ty, nie przeszkadzasz mi nigdy — odparł profesor, siadając na głębokim, skórzanym fotelu.

— Pracowaliście zapewne, mistrzu?

— Pracuję i studyuję zawsze...

— Szczęśliwe życie wasze, mistrzu! — westchnął lekko Robert.

— Twoje mogłoby być również

szczęśliwe moje dziecko — odparł mędrzec uśmiechając się życzliwie.

— Nie sądzę!

— Nadaj życiu twojemu cel szlachetny, a odżyjesz zupełnie.

— Nic, nic jeszcze nie zdołało wzbudzić we mnie zainteresowania i namiętności — zawołał z żalem młody człowiek.

— Szukaj! Jesteś bogaty, młody i piękny. Znajdziesz tylko szukać trzeba. Poszukiwanie jest głównym celem życia — wymówił poważnie stary profesor i błysk silny rozjaśnił jego oczy bezbarwne.

— Będę szukać... szukam już nawet — odpowiedział Robert lekko wzruszony.

— To znaczy, że zainteresowanie żyje już w tobie.

— Tak...

— A jutro przyjdzie może ukochanie i namiętność. Czy mogę dowiedzieć się czegoś o twoim dziecku?

(Ciąg dalszy nastąpi)



Po chwili uchylili się wolno drzwi gabinetu naukowego i Silvio Amanti stanął w progu.

po ramionach, o małych, ponsowych ustach i oczach jak gwiazdy, ukrywające w fałdach lekkiej tkaniny w pół ucięte, alabastrowe ramię. Po długich rozmyślaniach zdecydował się nareszcie Robert udać się do znajomego swego przyjaciela Silvia Amanti. Profesor Amanti uchodził w Rzymie za mędrca bardzo poważnego, chemika i anatomię pierwszorzędnego. Jakkolwiek zajmował on w Rzymie stanowisko profesora uniwersyteckiego, ceniony był za swoje zdolności pedagogiczne, niż za doświadczenia naukowe i wynalazki, które nazwisko jego uczyniły sławne w całej Europie.

Silvio Amanti był odosobniony od ludzi, bez rodziny i ścisłych towarzyskich stosunków, zatopiony całkowicie w analizach i poszukiwaniach swoich.

Laboratorium jego mieściło się w willi Sirohli-Feru, zasłoniętej od słońca i oczu ciekawych gęstymi klombami drzew. Okna wychodziły na wzgórze Parioli, a w dali widać było Tyber, płynący powoli poprzez spokojne, melancholijne pola rzymskie.

Silvio Amanti nie wpuszczał nikogo do swego laboratorium prócz dwóch uczniów swoich i pomocników, którzy idąc w ślady swego mi-